

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 25-go sierpnia 1945r.

Rok VII. Nr. 34

PRÓBA WYTRZYMAŁOŚCI

Skończyła się wojna, jej pożar dogasa już nawet na najdalszych frontach, ale Polskie Siły Zbrojne poza Krajem są pod niestannym ostrzałem propagandy. Nie ma dnia, nie ma tygodnia, żeby ktoś nie kierował do nas jakieś odezwę, apelu. Z zadziwiającą gorliwością ciągle gada ktoś o nas w radio. Brakuje papieru, ale idzie na nas zalew ulotkowej agitacji. Koledzy w obozach jeńceńskich piszą do nas ze skargami, że nie dostają "Polski Walczącej", ale za to masami... "Czechosłowaka" z wkładką drukowaną po polsku z niepolskiego natchnienia — o niepolskich sprawach.

Cała ta nerwowa ruchliwość, kosztowna bardzo w energii, czasie i pieniądzu usiłuje przekonać żołnierzy polskich na obczyźnie do sprawy, co do której są oddawna, od początku i do dziś niezmiennie jednego zdania: że winni wrócić do Polski. Przecież po to wyszliśmy z Kraju, aby wywalczyć drogę do niego. Przecież po to złożyliśmy tyle ofiar, przelali tyle krwi, przetestowali tyle lat, wytrzymywali tyle klęsk i taki ciężar obcości, żeby sobie zapracować na godny powrót do swoich i wolne życie w Ojczyźnie.

Jeśli tak jest, a tak jest na pewno, bo nie może być inaczej — cała ta nerwowość propagandowa ma inną przyczynę i inny cel na widoku. Nikt by nie tracił czasu i nie trwonął środków nato, aby dowodzić rzeczy oczywistej, przekonawać kogoś o czymś, co jest jasne jak słońce.

Demaskuje tę całą robotę sama rzeczywistość. Z Polską nie ma żadnej komunikacji prócz szczupłej komunikacji powietrznej, która służy wyłącznie propagandystom i kandydatom do posad. Prez. Truman w przemówieniu po zjeździe poczdamskim oświadczył, że na wschód od linii Curzona znajdują się trzy miliony Polaków, ale nie słychać, aby jechali na zachód. Wysiedleńcom polskim w Niemczech jest już wiadomo, że nikt im nie zaproponuje powrotu, nie zdoła zapewnić możliwości powrotu przed wiosną przyszłego roku. Tylko z nami jest ten pośpiech. Tylko my żołnierze — wedle wezwań i odezw — jeszcze dziś mamy oddać się pod rozkazy rządu tymczasowego, a już jutro wyjechać do Polski.

Mógłby kto powiedzieć, że ta szczególna troska i to uprzywilejowanie — jest dla nas pochlebne. W każdym razie może to lepsze, niż zwracanie się do nas jednego dnia przez: "bohaterowie", i wyzywanie następnego dnia od — "faszystów", "ślugusów reakcyjnej klikki" i t.d. Wszystko razem: te przeskokki od gróźb zamknięcia drogi do ojczyzny i obłudnych pochlebstw do prób zastraszenia do nadużywania drogich nam słów i prawd — wszystko to zdradza aż nazbyt jawnie, że komuś nie dogadza nasza tutaj obecność, nasza postawa, nasza żołnierska karność.

Trzeba otwarcie stwierdzić: nie chodzi o nasz powrót, bo nie ma

w tej chwili rzeczywistych możliwości powrotu, co stwierdzają nawet pisma oddane duszą i ciałem nowemu porządkowi. Nie chodzi o powrót dziesiątków tysięcy żołnierzy, gdy nie wróciły jeszcze i nie wracają ze Wschodu i Zachodu setki tysięcy i miliony wygnanców, deportowanych, wysiedlonych. Chodzi o coś innego: o rozbicie, o zniesienie siły, którą stanowimy. Pod wielkimi słowami i zakłębieniami kryje się gra, aby rozsadzić ten organizm, który tworzymy, aby nas zamienić w bezładną, bezradną trzodę i potem przeganiać, sortować, wywozić, jak i gdzie się komu będzie podobało. O to chodzi, co się już stało z Armią Krajową, której bohaterscy żołnierze przepadli w czeluściach Rosji, gniją w więzieniach albo gryzą ziemię. Chodzi o to, aby nas nie było.

A my, jesteśmy żołnierzami, jesteśmy żołnierzami Rzeczy-

pospolitej od lat sześciu. Stanowimy jedną żołnierską rodzinę, na której nie ma plamy. Stanowimy Siły Zbrojne, które spełniły przyjęty obowiązek wobec Kraju i wobec sprzymierzeńców, które się biły, ponosiły nieuniknione klęski i odnosiły zwycięstwa głośne na cały świat. Stanowimy Siły Zbrojne, które w ciągu minionych lat, śmiertelnie groźnych i oszalałymi wielkością wydarzeń nigdy nikogo nie zdradziły. I dlatego dziś nie zdradzają siebie samych.

Nasze stanowisko jest jasne. Jesteśmy w zgodzie z sumieniem, z obowiązkiem żołnierskim, z interesem naszego Kraju, nawet z decyzjami Wielkich Mocarstw, gdy chcemy wytrwać w wierności złożonej przysiędze, aż do chwili "wolnych i nieskrępowanych" wyborów. Jeśli w nich swobodnie przejawia się wola naszego narodu, jeśli dojdzie do głosu i będzie uszanowana wola polska, a ustanie

przemoc obca, jeśli legalny Przedstawiciel Rzeczypospolitej przekazuje swe uprawnienia władzy czerpiącej swój tytuł z woli Narodu, z woli polskiej — otworzy się dla nas droga upragnionego powrotu. Nie trzeba będzie wtedy kosztownej propagandy, apelów, ulotek, nawet "Czechosłowaka". Wrócimy do Polski bez jego zachęty. Wrócimy do Polski wszyscy razem, jako żołnierze, aby wszyscy razem stać się jej budowniczymi.

Dobrze by było, gdyby przestano odwoływać się do naszego obywatelskiego sumienia. Ono jest spokojne. Jest spokojniejsze, niż kiedykolwiek, bo my dobrze wiemy, że od naszej postawy, od naszej wytrwałości w dużym stopniu zależy, czy, kiedy i jakie będą wybory w Polsce, czy i kiedy przemówi ona swoim głosem.

Dobrze by było, gdyby zaniechano udzielania nam nauk patriotyzmu. Składaliśmy jego świadectwa

przez tyle lat i podpisywaliśmy je krwią.

Dobrze by było, gdyby dano pokój nadużywaniu słów. Wiemy, że składaliśmy przysięgę ojczyźnie, ale wiemy też, co to jest ojczyzna. Wiemy, że to jest ziemia i niebo, ludzie i niepodległe objawiająca się wola ludzi do wspólnego życia na tej ziemi i pod tym niebem.

Stwierdzono już na tych łamach, że daremne są próby wbijania klinów w spoistą całość Sił Zbrojnych, bezcelowe jest sianie nieufności, podburzanie jednych przeciw drugim, żołnierzy przeciw dowódcom. Właśnie te zabiegi obnażają prawdziwą twarz tej propagandy służącej jednemu tylko dążeniu, abyśmy przestali istnieć tu i gdziekolwiek, żebyśmy przestali domagać się uczciwości, sprawiedliwości dla Kraju i dla siebie. Żebyśmy splamili nieskalane imię polskiego żołnierza gorszącym widowiskiem, jakie dają tylko bardzo nieliczne na szczęście jednostki, oraz pewne uprzywilejowane organy prasowe.

Jesteśmy pewni, że stanowisko Polskich Sił Zbrojnych poza Krajem będzie uszanowane przez tych, którzy są zdolni i powołani, aby je ocenić. Jesteśmy pewni, że zrozumieją je gospodarze tego kraju, że oni, którzy tę wojnę wygrali nie opuszczą nas, którzyśmy ją przegrali — w tej najcięższej chwili naszej wojennej tułaczki. Nasze dzisiejsze stanowisko jest tym samym stanowiskiem wiernego dotrzymywania przyjętych zobowiązań, które nas sprowadziło na te wyspy pięć lat temu, kazało na nich wytrwać, podzielić dołę i niedolę, walkę, klęski i zwycięstwa.

Nie uogólniamy, nie przehosimy na naród angielski brzydkich, nieraz odstręczających odprysków propagandy likwidacyjnej, jakie się zdarzają w niektórych pismach angielskich. Oszczerstwa i oczerniania podsuwają te same usta, które jednocześnie zwracają się do nas jako do "bohaterów", które nas zaklinają w imię najświętszych prawd.

Chcemy wobec tego wszystkiego zachować spokój pełen godności, spokój żołnierzy godnych swego Kraju, jego tragedii i straszliwej niedoli, spokój ludzi o czystym sumieniu. Pojmujemy ten czas, który nas dzieli od wyborów w Polsce, jako próbę wytrzymałości nerwów i charakterów. Mamy takich prób — zwycięsko przetrzymanych — w ciągu lat nie jedną, ani nie dwie. Była taką próbą walka osłonowa Dywizji Grenadierów w kampanii francuskiej, oblężenie Tobruku, bitwa o Monte Cassino, Falaise i Chambois, Powstanie Warszawskie, które przetrwało dziesięć razy dłużej, niż było zamierzone, niż można było u jego początku założyć.

Przeżywamy próbę wytrzymałości. Przebedziemy ją tak, jak liczne kryzysy walk dopiero co zakończonych. Znamy te kryzysy. Nauczyliśmy się, jak panować nad sobą dla ostatecznego zwycięstwa.

ALEKSANDER JANOWSKI

ANDRZEJ WART: Lotnik polski /litografia/



Pierwsze godziny

"TO"

Jest godzina 9-a rano dnia 1-go sierpnia 1944 r. Zgłaszam się do lokalu centralnej poczty organizacyjnej przy Al. Niepodległości i otrzynuję tam zapieczętowaną kopertę zaadresowaną do mojego szefa z napisem "pilne, do rąk własnych". Nietrudno do myśleć się, że koperta kryje właśnie "to", na co czekamy już długie dwa tygodnie. Nareszcie.

Byłe jak najszybciej doręczyć. Ale jak na złość nie ma pod ręką ani "riksy", ani dorożki, a na tramwaj czekać nie warto. Prawie biegnę ulicami roztrzaskując ludzi po drodze. Wpadam do szefa i już na progu krzyczę: — "Dziś!" Szef spogląda mi w oczy porozumiewawczo. Otwiera kopertę i już za chwilę swoim spokojnym i energicznym głosem wydaje rozkazy dotyczące dzisiejszego popołudnia.

OSTATNIE CHWILE KONSPIRACJI

Mam roznieść po mieście kilkadziesiąt rozkazów, wiadomości, poleceń, a czasu już tak mało. Ulicą Grójecką jedzę w kierunku miasta kilkanaście niemieckich czołgów. Przechodzę kilka kroków w kierunku pl. Narutowicza. Na rogu ktoś ostrzega: — "Niech pani nie idzie na pl. Narutowicza: "łapanka". Biorą młodych do kopania stanowisk karabinów maszynowych i bunkrów przy koszarach policji" /Dom Akademicki/.

Przez te kilka godzin konspiracji, które jeszcze nam pozostały trzeba być ostrożnym. Było by szczytem pecha "wpaść" w takim momencie, tym bardziej, że różne kompromitujące papiery i papierki nie mieszczą się już w skrytkach mojej torby. Jest ich tyle, że od kilku dni nosimy je zupełnie na wierzchu. To też kołując bocznymi ulicami docieram na lokal gdzie oczekują mnie wszystkie łączniczki Wydziału.

WSRÓD ŁĄCZNICZEK

— "Dziś czy nie?" — pada ze wszystkich stron pytanie. Tak, dziś o godzinie czwartej wszyscy mają być na umówionych lokalach.

W pokoju zawrzało jak w ulu. Wszystkie mówią jednocześnie. Każda układa sobie głośno "plan działania". Gdzie pójść, kogo zawiadomić, co przygotować, czy aby zdaży się to wszystko zrobić?

Hanka musi jeszcze przewieźć dwa aparaty radiowe z "meliny", która znajduje się aż na Targowej. A tak trudno o "rikszę". Ba, nie dziwnego warszawscy "ryksiarze" dawno już się zmobilizowali i siedzą po "melinach".

Ela opowiada, że właśnie dzisiaj weszła do jakiegoś mieszkania, w którym siedziało około 50 chłopców. Łatwiej było wejść niż wyjść. Nikogo nie chcieli wypuścić, żeby przez gadulstwo wiadomość nie dotarła do "szkopów". — "Musiałam się długo tłumaczyć — mówi Ela — podałam im prawie cały swój życiorys. Ale dopiero jak im pokazałam ostatni numer "Biuletynu Informacyjnego", dali się przekonać. Mówię wam wspaniali chłopcy. Jedni czyścili broń, inni rachowali amunicję, sanitariuszki pakowały swoje torby. Nastrój był wspaniały. Nic jeszcze nie wiedzieli, że to już dziś".

Anna martwi się, że już nie zdąży do domu na Żolibórz. A ma na sobie już tylko te partofelki, które za chwilę rozleżą się w drobny maczek i tę letnią sukieneczkę. Ale "to" i tak nie potrwa pewnie dłużej, niż kilka dni.

Nasza gospodyni, stara przyjaciółka i konspiratorka, u której już tyle spotkań odbyliśmy, żegna się z nami jak matka. Ma syna w "Kedywie". Już od dwóch dni nie było go w domu.

POŻEGNANIE

Po zawiadomieniu wszystkich pedzę do domu. Deszcz, który leje od rana, ustaje i zza chmur wychodzi słońce. Warszawa uśmiecha się do nas pogodnie. W domu otwieram skrytki, wyciągam z nich papiery, pieniądze organizacyjne, zabieram broń i owijam ją w chustkę.

Już na progu mimo całego śpieszchu coś mi zatrzymuje. Rzucam spojrzenie na to mieszkanie, w którym przeżyłam lata konspiracji. Uświadamiam sobie w tym momencie, że zostawiam za sobą w życiu coś, co już nie wróci. Ile ciężkich a jednak pięknych zara-

zem chwil przeżyłam w tych ścianach.

Tu spotykali się ludzie z mojego zespołu. Tu nieraz szukali i schronienia ci, którzy musieli własne mieszkania opuszczać nagle i nieoczekiwanie.

Ile momentów pełnych napięcia, gdy w nocy lub nad ranem budzi stukot ciężkich butów "szkopskich", nawoływania w zniechęconym języku, brzęk kluczy dozorczyń. Może do nas, a tu akurat tyle rzeczy leży na wierzchu. Lecz nie. To w oficynie naprzeciwko zapalają się światła w oknach. Słychać łomot, wrzask, jęki i płacz. Później znów odgłos kroków, odjeżdżają auta i znów cisza zalega. A nad ranem życie toczy się normalnie, tylko w najbliższym sklepiu na rogu sąsiadki podają sobie z ust do ust plotkę. My zaś wiemy tylko jedno, że tej nocy u był jeden z naszych.

To wszystko teraz zostało już za mną. Już nie wróci.

PODZIEMNA MOBILIZACJA

Idę ulicami miasta, które przeżywa w tej chwili szczególny moment: podziemnej mobilizacji. Mężczyźni i kobiety — żołnierze A.K., którzy za parę godzin staną do walki zmieszani są jeszcze z tłumem cywilów. Lecz wprawne oko może ich już łatwo odróżnić po przyspieszonym kroku, po długich butach z cholewami, pasach, bere-

tach, wiatrówkach, którymi już teraz starają się nadać sobie wygląd zbliżony do żołnierskiego. Znają mi nie przystają jak zwykle, nie rozmawiają ze sobą. Powietrze naładowane elektrycznością jak przed burzą.

Punktualnie o godzinie 16 melduję się na ulicy Boduena. Wchodzę za umówionym hasłem. Wszyscy są już na miejscu. Pięciu chłopaków z "Kedywu" obwieszonych bronią, granatami i "filipinkami" czeka na moment wyjścia na ulicę. Są spokojni i pewni siebie — to weterani. Mają już za sobą niejedną akcję uliczną i to co dziś się stanie nie będzie dla nich pierwszą.

O godzinie pół do piątej narzucają na siebie palta dla ukrycia broni, odbezpieczają "rozpylacze" i wychodzą kolejno co dwie minuty na następny punkt zbiórki. Przechodząc przez Świętokrzyską, słyszymy pojedyncze strzały z pl. Napoleona. Na placu widać grupki Niemców. Plac jest pusty. Czyżby domyślali się czegoś?

GODZINA "O" SIĘ ZBLIŻA

Kamienica, do której wchodzimy jest już "obsadzona". Dwóch żołnierzy stoi w bramie z bronią. Wpuszczają nas za hasłem. Godzina "O" zbliża się. Ostatnie minuty ciągną się w nieskończoność. Zakładamy naszym żołnierzom opaski biało-czerwone, uszyte i przy-

gotowane na ten moment od dawna.

Punktualnie o godzinie piątej ze wszystkich stron rozlega się kanonada. Co chwila słychać głucho detonacje "filipinek", serie z "rozpylaczy". Ulice pustoszeją momentalnie z cywilów. Stają się polem walki.

— "A municyja!" — wołają chłopcy z najbliższego narożnika. Przerzucamy im amunicję, przeslizgując się wzdłuż murów. Po kilkunastu minutach jest już pierwszy ranny. Niesiemy go do bramy. Na miejscu są już lekarze, którzy dają mu pierwszą pomoc.

DROGA DO UWOLNIONEJ "VICTORII"

Po 20 minutach Niemcy zostali wykurzeni z Hotelu "Victoria" przeznaczonego na kwaterę dla generała "Montera". Mamy się tam przedostać, ale Niemcy ostrzeliwują ulicę z placu Dąbrowskiego. Nawet tych kilkadziesiąt kroków nie sposób przejść ulicą. Idziemy więc przez piwnice domów i przejścia wyrabane w murach. Piwnice są już oświetlone, dozorca domów wskazuje drogę w tym podziemnym labiryncie.

W "Victorii" otrzymuję od mego szefa rozkaz pójścia na ulicę Świętokrzyską dla nawiązania łączności z jednym z punktów naszego Wydziału. Wychodzę na ulicę ale już po przejściu dwóch do-

mów żołnierze każą mi zawrócić i iść piwnicami. Ulica jest jeszcze ciągle pod ostrzałem. Właśnie przed chwilą ranili dwóch naszych.

Idę więc piwnicami aż do rogu Świętokrzyskiej i Jasnej. Tu wychodzę na podwórko, gdzie jakiś cywil kieruje "ruchem". — "Proszę wejść w te drzwi — mówi — o tam na prawo jest bar. Stamtąd jeden ostrożny skok i już pani jest na drugiej stronie ulicy. Ale proszę uważać, bo "szkopy" grzeją jeszcze z Poczty Głównej".

W barze siedzi kilkunastu cywilów głośno dyskutujących. Na mój widok a raczej na widok czerwonej opaski na moim ramieniu, rzucą się w moją stronę kilkanaście osób prosząc o opaskę, bo przecież oni także chcą być żołnierzami. Wskazują mi usłudźnie wyjście na ulicę, podnoszą kratę.

W bramie naprzeciwko stoi kilku żołnierzy A.K. z bronią w ręku. Świętokrzyska pusta zupełnie, słychać tylko co chwila bzykanie kul i brzęk tłuczonego szkła. W tej chwili pod murem przemknęło się dwu ludzi.

Żołnierz z drugiej strony daje mi znak. — "Można skakać!" Biegnę pochyloną i wpadam do bramy.

NA LINII "FRONTU"

W kamienicy ruch. Przebijają już przejścia w murze, na piętrze dużej sali lekarze i sanitariuszki instalują prowizoryczny szpital.

Obok w pokoju pozycja ognio-wa. Na balkonie znajduje się gniazdo karabinu maszynowego osłonięte stosem poduszek i materacy. Obsługa rkm-u ma na sobie helmy z 1939 roku. W pewnej chwili na biurku odzywa się telefon. Żołnierz zrywa się, by podjąć słuchawkę ale dowódca zatrzymuje go. — "Obie poczty znajdują się jeszcze w rękach nieprzyjaciela". O piętro wyżej "Pe-Zetki" przygotowują wieczorną strawę dla żołnierzy.

Docieram wreszcie do moich ludzi. Wszyscy są spokojni, twarze roześmiane. Radiostacja, która została przewieziona z Częstochowy na kilka dni przed powstaniem jest niedaleko, tylko o parę ulic. Teraz jeszcze nie można się tam dostać, gdyż ostrzał jest zbyt silny, trzeba zaczekać aż się ściemni. Oddział pójdzie dopiero po nią pod osłoną nocy i przeniesie ją na miejsce.

Chłopcy cieszą się już na myśl o tej wyprawie, dosyć trudnej w tych warunkach, bo przecież radiostacja to cztery ciężkie, potężne skrzynie. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że koniecznie jak najszybciej trzeba zmontować radiostację i nawiązać łączność ze światem. Tamci w Londynie muszą wiedzieć, żeśmy już zaczęli.

PO PIERWSZYM DNIE

W późnych wieczornych godzinach nadchodzą pierwsze meldunki o zdobyciu pobliskich gmachów. Ukazuje się pierwszy numer "Biuletynu Informacyjnego" i "Warszawa Walczy".

O godzinie 11 w nocy wpada do naszego pokoju zadyszana, roześmiana Julia, staje na baczność przed szefem i melduje: — "Panie poruczniku, obywatelka Julia, melduje posłusznie, że wzięła pięciu Niemców do niewoli w gmachu PKO." Jakże się to stało?

— "Było nas dwie — opowiada Julia — przenosiłyśmy właśnie aparaty radiowe do gmachu PKO, gdy nagle w tym wielkim hallu słyszymy w ciemności dobrze nam znane: "Halt, Haende hoch". Okazuje się, że ukryła się tam załoga jednego z czołgów niemieckich unieruchomionych na Marszałkowskiej. Zdrętwiałyśmy na chwilę ze strachu. Ale później wytłomaczyłam Niemcom, że są otoczeni ze wszystkich stron. Jeżeli włos spadnie nam z głowy dostaną kulą w łeb niezawodnie. Warszawa jest w naszych rękach, nie mają więc innego wyjścia jak złożyć broń i pomazzerować z nami na najbliższą placówkę. Poszwargotali coś między sobą zostawili broń i poszli z nami".

O północy montowano już radiostację. W drukarni szedł nowy nakład "Biuletynu". Na pozycjach czuwali żołnierze. Nikt nie miał ochoty spać w tę pierwszą noc wolności.



Afisz, który pojawił się na murach Warszawy w chwili wybuchu powstania

Z WIERSZY POWSTAŃCZYCH OJCZYZNA WICHER WOLNOŚCI

Dotykam Ciebie drżącymi rękami
Polsko, wyrosła z ciężkiego podziemia,
jesteś wciąż ze mną, a ja godzinami
uwierzyć nie śmiem w wielkość Twoich przemian.

Jesteś wciąż ze mną żywa i tak jasna,
że oczy mrużąc pod suchy trzask kul,
Trwam w Twojej bliskości i żyję w Twym blasku,
który zwycięży i oddali ból.

Tobie dziś płoną bitewne pożary
i ranni krwią przelaną dziś Tobie się modlą
Ziemio, znaczone stygmatami wiary —
Ojczyzno, własna, jak ostatni oddech.

Ziemio wielka, szeroka, ojczyzsto
na żołnierskich, dźwigana ramionach —
Idzie czas, kiedy dobra Twa przystaną
Zniczem wolnym znów będzie nam płonąć.

Bo wolność, która nad miastem się pali —
ta wolność co w serca nam wrosła i trwa,
dziś wzlata obryzania ponad oceany
i krzykiem zwycięstwa ogarnąć chce świat.

Słyszycie?
W tym krzyku śmiertelny jest strzał
i wrogów nie wzniesie już żaden horyzont
bo wicher wolności nad nami się stał
wyczekiwana i wolna ojczyzno.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

GRETA NOWAKOWA

“Ślązak” na Morzu Śródziemnym

Idziemy z konwojem do Gibraltaru. Spokojnie, bez wydarzeń już ósmy dzień. Zrobiliśmy wielki łuk,



O.R.P. “Ślązak”

daleko na zachód, aby ominąć szlaki okrętów podwodnych i teraz idziemy już na wschód. Jutro powinniśmy zobaczyć ląd.

Konwój jest niewielki, ale cenny. Cztery duże statki naładowane samolotami. Eskortą — dwa kontrtorpedowce i dwie korwety. Zespół międzynarodowy. Brytyjski kontrtorpedowiec, jedna korweta kanadyjska, druga francuska i my S.O. /Senior Officer/ całości.

Pierwszy raz dowodzę takim zespołem i z gorliwością neofity przestrzegam instrukcji atlantyckich konwojów. Ustalę pozycję eskorty na dzień, na noc, na mgłę, na zmierzchu, na świt. Wydaje dyspozycje i ideę manewru na wypadek zaatakowania nas z powietrza, z wody, z pod wody, z prawa, z lewa. Jestem w stałej łączności z komandorem konwoju, żądam określenia i podania pozycji w każdej chwili — słowem dowodzę.

Nie wiem, czy nieprzyjacieli miał telepatyczny wywiad i nie chciał, czy nie śmiał zaatakować tak “przygotowanego” konwoju, czy były inne powody, dość, że podróż mijala nam, jak się już wyżej rzekło — spokojnie. Nawet dowodzenie zespołem /coż za odpowiedzialność/ nie wyczerpuje mojej aktywności, więc każę zorganizować na dziobie zawody strzeleckie do tarcz — z krótkiego karabinka. I

w chwili, kiedy szykuje się trafić w samą “dziesiątkę” — krzyknęto z pomostu: — “Lewo trzydzieści sylwetka na horyzoncie”.

W tę pędą na pomost. Wołam nawigatora i pospołu przeglądamy log sygnałowy. Badamy kto to może być? Codziennie popołudniu otrzymujemy się sytuację na godzinę 20,00. Pozycję, kurs i szybkość własnych jednostek. W ten sposób z bardzo dużym przybliżeniem można obliczyć kogo, gdzie i kiedy zobaczymy, czy spotkamy. Skrupulatnie sprawdzamy cały ruch za ubiegłe 24 godziny. Nikogo nie powinno być, więc albo neutralny “syngiel” albo niemiecki korsarz.

Nawet naprawdę korsarz, sylwetka wojenna. Co robić? Jestem S.O. Zapominam o instrukcjach i sięgam do przykładów /bohaterkich oczywiście/ osłony i obrony konwojów. Tak, wiem. Muszę się sam poświęcić, biorąc na siebie cały ogień “raidera”, angażując go jak można najdłużej, a konwój tymczasem pod osłoną dymną, a potem nocy, zmieniając kurs — umknie. W międzyczasie nadzieję pomoc i odsiecz. Tak, ale my zginiemy. Trudno, *noblesse oblige*.

Jestem S.O. Wołam na pomost zastępcę i uroczystym głosem oznajmiam mu, że idziemy rozpoznać sylwetkę na horyzoncie. Trzeba być przygotowanym na wszystko. Przy słowie wszystkim

— czuję, że jestem patetyczny. No, ale trochę patosu w takiej chwili nie szkodzi. S.O. i w ogóle...

Nadaje sygnał na kontrtorpedowiec, że idziemy rozpoznawać podejrzaną sylwetkę i że będziemy informować go o rozwoju sytuacji.

Robimy zwrot, zwiększamy szybkość. Pierwszy artylerzysta wchodzi do dalocelownika — tak na wszelki wypadek, aby być stale “w kursie”.

Ja przypominam sobie, że za dobrych czasów marynarze przed bitwą wdzielali czyste koszule, a ja od tygodnia nie zdjąłem nawet swetra. I to się nazywa postęp, cywilizacja.

Idziemy na zbliżenie nierozpoznanej jednostki. Staramy się określić kurs i szybkość. Zdaje się, że idzie prosto na południe — szybkość duża. Napewno jakiś krążownik pomocniczy, lub może sam “Scharnhorst”.

Wszyscy na pomoście z lornetkami przy oczach. Ja mam minę, jakbym nazywał się Bohaterski.

— “Kraźownik” — wrzasnął oficer artylerii z dalocelownika.

— “Dwukominowy” — zameldował sygnalista “Sokole Oko”.

Nie, to nie jest “Scharnhorst”. Odetchnąłem z ulgą.

— “Prawdopodobnie klasa “Southampton” — zakonkludował zastępca, spec od sylwetek.

Już na śmiało zbliżyliśmy się coraz bardziej. Widać wyraźnie — krążownik wali prosto na południe, robi niewielkie zygzyki, szybkość powyżej dwudziestu węzłów.

Trzeba się znaleźć w sytuacji — myślę, i każe nadać sygnał — “Ciesz się, że wy to nie “Scharnhorst”. Za chwilę przychodzi odpowiedź:

— “My też, że wy nie U-boat”.

To już wyraźna ironia tak nas sponsonować. Przyszło kontrtorpedowiec — i to seniora — przyrównać do okrętu podwodnego... Czuję się wyraźnie dotknięty. Zawracamy do konwoju. — “Własny krążowniczek” — powiadamiam eskortę, mszcząc się w ten sposób za U-boat.

Ledwie przegrupowałem /trzeba działać/ eskortę, przyniesiono sygnał od Admirała Gibraltaru, że w takiej a takiej pozycji samolot wpał do morza. Wołam nawigatora. Nanosimy pozycję na mapę. Około 60 mil od nas. Patrzmy na siebie — “Shepherd of the dinghies”.*

Próbujemy szczęścia. Coprawda sygnał jest raczej informujący, niż rozkazujący i jesteśmy tutaj S.O., ale pokusa duża, 60 mil, to znaczy około 2 godzin. Teraz jest 13,30. Będziemy tam około 16,00. Poszukamy godzinę — to 17,00. Zachód słońca o 19,00. Powinniśmy złapać konwój przed zmrokiem.

Zastanawiam się czy wysłać Anglika, czy iść samemu. Ale przeświadczenie o naszym w tym “względnie” doświadczeniu przeważa i postanawiam iść sam. Nadajemy sygnał na kontrtorpedowiec, że idziemy szukać lotników i zostawiamy go jako “acting S.O.”, drugi sygnał do C-in-C. Gibraltaru i... prawo na burt, zwiększamy obroty.

Słońce lekko dopieka. Wyciągnięty w leżaku na pomoście ustalam plan poszukiwania lotników. Najlepiej dużymi zygzykami — myślę — szybkością piętnastu węzłów; nie za szybko, aby łatwiej było obserwować. Mam przeczuć, że ich odnajdziemy. Po godzinie konwój znika, nawet dymów nie widać. Czuję się dziwnie sam bez innych okrętów. Jak to człowiek odczuwa głód towarzystwa, chociażby takiego, z którym porozumiewa się tylko “Morsem” lub flagami.

Ni stąd ni ząd fala zaczyna wzrastać, od czasu do czasu dzwoni “zarabie” porządnie. Musimy zmniejszyć szybkość. Nachodzą mnie wątpliwości, czy słusznie zrobiłem, odchodząc od konwoju, czy zdając dołączyć przed nocą, jak “będę wyglądał”, gdy oni w czasie mojej nieobecności zostaną zaatakowani. Przecież jestem S.O.

Fala wzrasta. Możemy iść tylko 17 węzłów. Koło 17,00 dochodzimy do pozycji strąconych lotników. Meldują jakąś sylwetkę. Podchodzimy bliżej. Kontrtorpedowiec. Wymieniamy sygnały. — “Co tu robicie?” — “Szukamy lotników”, a wy? — “Przysłaliśmy szukać lotników, ale mamy konwój na głowie, więc odchodzimy”.

Spada mi ciężar z serca. Znowu “prawo na burt” — jak najszybciej dołączamy do konwoju. Ambicja odnalezienia lotników gdzieś pierzcha. Ale nie można iść duża

*Dokładnie: pasterz ratowniczych łodzi lotniczych — przydomek nadany “Ślązakowi” przez prasę z racji rekordowej liczby lotników odnalezionych i podniesionych przez niego z morza.

szybkością. Fala. Ostrożnie jednak dodaję co pewien czas po 10 obrotów.

O 18,00 wstępuje na wachtę zastępca. Zamieniamy parę słów na temat pogody i schodzę do kabiny na herbatę — trochę zmarzłem. Po herbacie na pomost. Może by jeszcze zwiększyć szybkość?

— “Czy trzęsie?” — pytam zastępcę.

— “Właściwie, nie”.

— “No to 20 obrotów więcej”.

Fala mamy z ćwierć wiatru z lewa wskos, okrętem nie szarpie zbyt mocno, ale na większej szybkości przechyli stają się większe. Narazie idzie weale dobrze. Stoję na prawym skrzydle pomostu, zastępca przed kompasem i rurą głosową.

Dochodzi 19,00, a konwoju nie widać. Nie widać nawet dymów. Za godzinę będzie ciemno. Czy ich odnajdziemy w nocy? Pewnie z powodu pogody zmniejszyli szybkość, a może zmienili trasę, a może coś się stało? A ja tutaj sam. S.O.

— “Dwadzieścia obrotów więcej”.

— “Dwadzieścia obrotów więcej” — powtarza zastępca do sterówki.

Nagle, mocne uderzenie fali o dziób i okręt gwałtownie położył się na burtę. Wszystkie ruchome przedmioty potoczyły się z koskotem w stronę przechyli.

Zastępca chwycił oburącz rurę głosową i krzyknął do sterówki: — “Prawo na burt” — ja prawie w tej samej chwili: — “Pięćdziesiąt obrotów mniej”.

Zamarliśmy w oczekiwaniu. Wyprostuje się, czy nie...

Krawędź burty i pokładu dotykała wody. Motorówka tuż, tuż nad wodą. Obsługa działa “dwa” i “pom-pom”, zrzucone przechyliem na prawą burtę, skupione w gromadki spoglądają w stronę pomostu. Po pokładzie toczy się obijające się o nadbudówki jakaś źle umocowana bańka...

Sekunda ma naprawdę 60 tercji...

Ale burta zaczyna odklejać się od wody. Okręt prostuje się. Robi mi się dziwnie lekko na sercu. Patrzę na zastępcę — on łapie mój wzrok. Uśmiechamy się. W takich momentach rodzi się przyjaźń.

Po godzinie odhaleliśmy konwój. Na szczęście wszystko było w porządku. Zaczęłam na nowo dowodzić. Przegrupowanie, dyspozycje na noc, na świt, na sztorm. Jak S.O. — to S.O.

LEOPOLD MILANOWSKI

Przeraźliwy świst nad uchem — jeden — drugi — trzeci. Zaraz, zaraz — gdzie ja jestem? Usiłuję



W porcie śródziemnomorskim

naprędce zebrać rozpedzone snem myśli, otwieram oczy, wreszcie uchem chwytam wątek — zmiana wachty.

Jeszcze chwileczkę — prosi rozleniwione ciepłem snu ciało, jeszcze poleż trochę, szepce lenistwo, tak trochę, ot tak, tak.

Nie, dosyć tego! Siadam prędkiem w hamaku. Przetarcie oczu, parę energicznych ruchów rękoma — i już znowu czuję się rześki. Teraz ubranie, skarpetki — raz, dwa, trzy. Jestem gotów. Nakładam jeszcze ciepłą czapkę, notes do kie-

szeni i ruszam.

Skulony w ciemności przechodzę pod hamakami, przy drzwiach rzucam okiem na zegarek — a to dopiero za pięć dwunasta, więc jeszcze pięć minut. Po co się tak spieszyłem? — przechodzi mi przez głowę. Powoli wdrapuję się na górę.

W sterówce tiok, pełno dymu i ruchu, widać podniecenie. Jeszcze nie wiem, ale już pytam: — Antoś co jest? A on: — No bracie będziesz miał zabawę na swojej wachcie.

Jeden patrol

I naraz wszyscy, to znaczy we trzech zaczynają mi opowiadać, że łódź, że samolot, że “flara”, że tamto, że to. — Zaraz, zaraz, przerywam ten potok wymowy, bo czuję, że nie nie rozumiem — od początku, pomalutką. Aha, więc samolot zauważył niemiecki okręt podwodny na powierzchni, rzucił tam “flarę”, przysłał sygnał i jedziemy na polowanie, w porządku.

Maszeruję na pomost, aby odebrać wachtę. Tu już ruch. Dowódca jest, oficerowie są. Wszyscy z lornetkami, obserwują bacznie horyzont, łapię się więc i ja. Początkowo widzę mało, wzrok jeszcze nie przywykł do ciemności. O! o! teraz lepiej — tak teraz coś widzę, tak — tam dalej przed dziobem jest ląd, tu miga jedno słabutkie światelko, a tu jest drugie — tylko je rozpoznać i jest pozycja. Ale co to za cholera? Teraz dopiero zauważyłem światło wybliskowe, silne bardzo i bliskie /tak mi się przynajmniej wydawało, bo w nocy odległość i tak na oko zawsze się nie zgadza/. Ląd tu — myślę sobie — nie, to niemożliwe. Zapytam się.

— Panie poruczniku co to za światło? — Cisza. Pociągam go za płaszcz i głośniejszy — Co to się tam świeci panie poruczniku? — Wreszcie wycedzona, flegmatyczna odpowiedź.

No, to w końcu wiem. “Flara, flara” — odsapnąłem.

Pomalutką posuwając się zbliżamy się do flary. Dowódca nakazuje dzwonić na alarm.

Teraz dopiero zaczynam odczuwać zimno. Otulam się lepiej płaszczem, biorę lornetkę, by obserwować ciemną masę brzegu, do której ciągle się zbliżamy.

Noc jest piękna. Niebo usiane tysiącami gwiazd. Biały sierp księżyc oświetla wszystko, rysując na szarej jak lustro, gładkiej tafli morza srebrzystą drogę. W oddali brzeg czarny, błyskający gdzieś światłami i gdzieś niegdzieś jaśniejszy białością ośnieżonych szczytów. A to wszystko osnute białą, lekką przezroczystą mgiełką. Cisza, cisza łagodna, kojąca a równocześnie może tak złowroga. Dziwna noc.

Rozpoczynamy poszukiwanie. Dziesiątki par oczu, wyteżonych aż do bólu prawie, obserwują powierzchnię. Nic nie może ujść ich uwadze, najdrobniejszy przedmiot na wodzie, najmniejszy ruch fal. Każdy rozumie, że od tego zależy jego bezpieczeństwo a może życie.

— Lewa 40 sylwetka niska. Długo. — Brzęczy telefon od dział. Jak na komendę oczy wszystkich na pomoście zwracają się w tę stronę.

— Coś tam jest — stwierdza dowódca.

— Tak, tak widzę — pada parę głosów.

— Ster lewo na burt! — Ster lewy lewo na burt — płynie odpowiedź ze sterówki. Okręt wolno zaczyna się kręcić.

— Wróć na lewo 15 — wróć na zero “steady”.

Z dołu podają kurs. — Tak trzymać — pada rozkaz. Płyniemy w kierunku na widzianą sylwetkę.

Na pomoście cisza, cisza tak przeraźliwa, że słyszę bicie własnego serca, które wali jak młotem.

— Czy widzicie jeszcze tę sylwetkę? — pada pytania dowódcy.

— Nie, nie, znikła gdzieś — biegnie parę niepewnych odpowiedzi.

— Czy wszyscy są pewni, że tam była sylwetka?

— Tak... tak.

Ja już nic nie mówię. Oczy mnie boją, nie prawie nie widzę, a raczej ciągle majaczą mi się jakieś sylwetki, raz nawet chciałem już krzyknąć, ale się w porę powstrzymałem. Narobiłbym niepotrzebnego alarmu.

Patrzę na zegarek, to już po czwartej. Jestem zmęczony i czuję przeraźliwe zimno. To nie tylko ja się trzęsę, każdy od czasu do czasu przytupuje, zaciera ręce i klnie brzydkiem. Zaczynam marzyć o ciepłym łóżku, o chwili snu, o gorącej kawie...

— Ster lewo na burt — pada nerwowa komenda oficera wachtowego. Serce mi stanęło, bo niby taka komenda nigdy nie dobrego nie oznacza.

— Co? co? Co się dzieje? — dopytuje się dowódca, który obserwował drugą stronę.

— Zdawało mi się, że torpeda, ale to pomyłka — tłumaczy się oficer wachtowy. — Ster na zero, wróć na poprzedni kurs.

— No dobrze, że to przywidzenie, pomyślałem.

Zeszedłem na chwilę do sterówki. Pełno dymu. Każdy do swoich miejsc skulony, owinięty — drzemał lub palił papierosa, by nie zasnąć, by jakoś przetrwać do rana. Jeden tylko sternik z oczami utkwionymi w reportytor kompasu, nie mógł nawet usiąść, nie mówiąc już o wspaniałym drzemce.

Ogrzawszy się wróciłem na pomost. Wschód słońca przyniósł odrobę alarmu. Jedna wachta została a reszta poszła na przymusowe spanie, po raz pierwszy w historii okrętu.

Oh! Jak przyjemnie być znowu w hamaku.

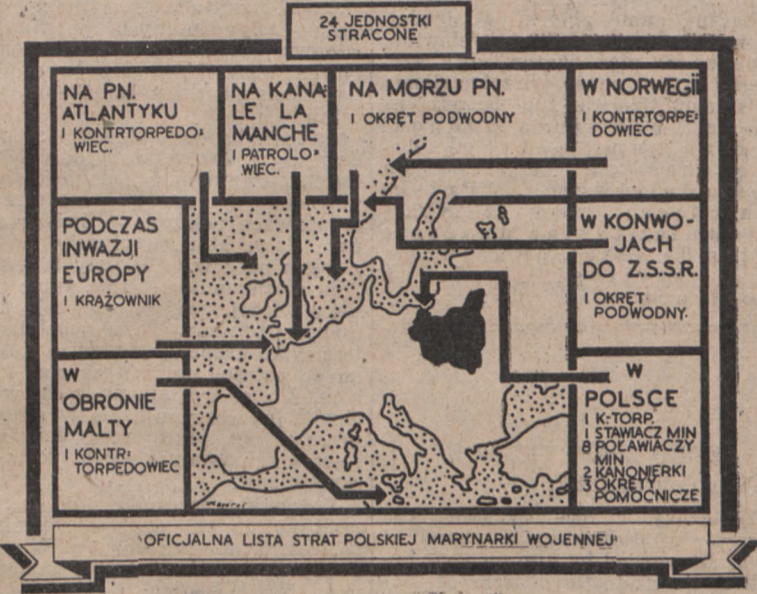
ZYGMUNT SZEMBEK



TOWARZYSZ BRONI



Od Piaśnicy po helską mierzeję



Armia Krajowa studiuje

Prowadząc z jednej strony akcję zbrojną — Armia Krajowa równolegle podejmuje wysiłki, których celem jest: pogłębienie wiedzy wojskowej, i uzyskanie w szeregach jak najwyższego poziomu ideowo-społecznego. Wiązało się to ze sprawą doskonalenia typu żołnierza Armii Krajowej, szkolonego w warunkach trudnych, wymagających wiele osobistego poświęcenia. Żyjącego ponadto w samym nurcie okupowanego Kraju.

Urabianiem ideowo-społecznym tego typu żołnierza Armii Krajowej zajęła się przede wszystkim wydawana podziemnie prasa wojskowa. W jednym ze środowisk wojskowych ukazywało się pismo "Wolna Polska". Zamieściło ono artykuł pod tytułem "Żołnierz powstania". W artykule jest postawione pytanie, jaki powinien "być żołnierz, którego powstanie wywiedzie na pole bitwy z mroków konspiracji". Odpowiedź brzmi: "musi to być typ żołnierza-obywatela, świadomego celu walki. Żołnierz każdy, a żołnierz powstania szczególnie, poza karabinem winien być również uzbrojony moralnie". Od politykierstwa, które nie może być w wojsku tolerowa-

ne — "Wolna Polska" odróżnia "całkiem naturalną i zrozumiałą skłonność u żołnierza-powstańca, do prowadzenia rozmyślań nad tym, jakie będzie państwo, o które bije się w takich warunkach. "Wolna Polska" podkreśla, że właśnie o samowiedzę ideowo-społeczną żołnierza tego typu, dowódcy winni się troszczyć szczególnie.

Lecz nietylko zagadnienia ideowo-społeczne są przedmiotem omówień podziemnej prasy wojskowej. Poświęca ona też niemało miejsca i na zainteresowania czysto wojskowej natury. Pismo wojskowe "Insurekcja" wydrukiowało na przykład artykuł p.t. "Współdziałanie czołgów z piechotą", powołując się na zmiany, jakie świeżo nastąpiły w strategii wojennej po doświadczeniach 1942 roku.

Wśród szeregu artykułów "Insurekcji" praca p.t. "Podstawowe zasady szkolenia" poddaje rozbirowi wszystkie elementy wykładu wojskowego, a więc: rozplanowanie, tok wykładu, osobista wiedza wykładowcy, zasada nierezygnowania z dokładności na rzecz objętości materiału.

Armia Krajowa nie tylko walczyła, lecz i uczyła się.

Mieliśmy przed wybuchem wojny — 140 kilometrów brzegu morskiego. W tej długości mieściły się również oba brzegi mierzei helskiej. Ten od strony Zatoki Gdańskiej i ten od otwartego Bałtyku, zwanego w potocznej gwarze rybaków, zamieszkujących całą tę najbardziej na północny zachód wysuniętą połać Polski — "Wielkim Morzem". Od Piaśnicy, rzeki granicznej do 1939 roku, ku samemu cypłowi helskiej mierzei.

Od pozostałych, w głębi lądu położonych Kaszub, ten brzeg piaszczysty, pełen wydym — różni się bardzo. Różnica jest szczególnie uderzająca po stronie "Wielkiego Morza". Niemniej, ziemia ta nigdy nie przestała być Kaszubszczyzną.

Florian Ceynowa, poeta kaszubski, rodem ze Sławoszyna pod Puckiem, zostawił w swej spuściźnie opowieść o helskich dzwonach:

"Helskie zwone. Ciej Hel na swoim pierwszym mólu stojół, to je na stórm hoku, tej w tym stórm koscele beło setno zwonów. Ale jak one se spółeł, tej go Helani webudowale perznie dalej na wespie. Oni sobie też webudowale tam nowy koscel i zwonice, do chternej wzele na setnie zwonów. Ale jak oni zaczęte krase owce z lasa, towór z okretów, tej im zwone ucekle na miesce stórmgo koscoła. Setnie ich beło i co setnie łót przynda one wjedno na wierzach. Trafilo se też jedynego raze, że jedna drzewczyzna szła z masłem do Hela i wiedza na stórm hoku na setnie zwonów, dwa wiedzcie i pinc mółych. One se uda na ten nomniejszy zwon,

abe jego, jakbe dodom szła, wzac. Jak ona jego dwiga, odezwól se do niej ten nowikszy zwon a powiód: Ciejbie te jes za mnie uchwócela, to by te inszy szesc za mną samy szle; ale tak nie dostoniesz zódnego. Bo nie przystoi, be ojc szed za senami, le sene za ojcem! — Potym nen zwonuszek ji zrobie se taci ciężci, że go nijak udnesc nimogła".

Opowieść przytoczona — to jest właśnie kaszubska prawda o wielkiej powadze i znaczeniu ojca rodziny.

W przyległej do "Wielkiego Morza" części Kaszub — krąży legendy, jedne polskie legendy, mające watek morski. Opowiada je lud kaszubski w Karwi i Rozewiu, w Wielkiej Wsi, Kuźnicy, Chałupach, Borze, Jastarni i Helu. Tak samo w wioskach z nad "Małego Morza" — Zatoki Gdańskiej. Raz są to "zwone kaszubskie", a innym razem wyjaśnienie, dlaczego Puck ma w herbie węgorka na łańcuchu.

Wydmę złotego piachu, sosny tuż za wydymami, a przed tobą siny, niezgłębiony, szumiący przestwór: Bałtyk. Tak po polsku szumiący na skrawku polskiego wybrzeża.

Wszystko tu było na wybrzeżu inne od reszty Polski. I język ów chropawy, który pokazuje urywek z Ceynowy. I surówce, twarde życie rybaków, i krajobraz — jedyny w całej Polsce.

To też za spokojnych czasów przybywali tutaj ludzie z całej Polski. Dla zaczerpnięcia, zwłaszcza podczas letnich lub wczesno jesien-

nych miesięcy — jodowego oddechu morza. Dzieciarnia opalała się na plażach, właściwie na jednej, nieprzerwanej plaży od Piaśnicy po Hel. Szumiało morze i chwyciło brzeg pierzastą falą, chwiały się wysokie, masztowe sosny, kłuda trawa morska, i oslepiło słońce w dzień pogodny, jakże częsty na tym polskim brzegu.

A jak Krajowi naszemu potrzebny był brzeg "Wielkiego Morza" — mówią te niezliczone domki-wille, których liczba rosła jak na drożdżach. I szosa asfaltowa z Wielkiej Wsi do Karwi, nasza autostrada nadmorska. I linia kolejowa, wysiłkiem polskich inżynierów i robotników przeciągnięta przez całą długość mierzei helskiej, niekiedy tak blisko pomiedzy "Wielkim" a "Małym Morzem", czyli między otwartym Bałtykiem i Zatoką Gdańską. Mówią o tym coraz nowe wędzarnie ryb, coraz liczniejsze kutry rybackie, którymi dokonywano połowów.

A nad całością tego skrawka morskiego unosi się wysoko, pono najwyższa w tej części Bałtyku, latarnia morska w Rozewiu, z której wszystkie polski brzeg bałtycki widać było jak na dłoni.

Nieraz w ciągu stuleci przemoc rządziła owym brzegiem kaszubskim "Wielkiego Morza". Przemoc ginęła, a na jej miejsce przychodziła Polska. Bo na kaszubskim brzegu bałtyckim tylko Polska jest prawowitym gospodarzem. I pozostanie.

Z miejsc postoju

Dnia 3 sierpnia 1945 roku w miejscu postoju Szkoły Podchorążych Piechoty i Kawalerii Zmotoryzowanej, odbyło się uroczyste zakończenie IX kursu podchorążówki dla lotników. Uroczystość zakończenia odbyła się według tradycyjnego ceremoniału.

Komendant Centrum Wyszkolenia Piechoty płk. P. przemawiając do absolwentów, życzył im, ażeby "mogli na wolnych skrzydłach polskich znaleźć się nad prawdziwie wolną i niepodległą ziemią polską". Płk. pilot K. zastępca Dowódcy Lotnictwa, podkreślając trudności przeżywanego okresu, stwierdził: "Wierzę jednakowoż, że potrafimy przetrwać ten ciężki okres. Zdajemy bowiem przed historią egzamin charakteru i wytrwania".

Przemawiający imieniem absolwentów sierżant podchorąży T. zameldował: "Wojna dla nas się nie skończyła. Skończy się wtedy, gdy staniemy na ziemi wolnej Ojczyzny. Honoru żołnierskiego i tradycji żołnierskiej nie splamimy!".

Płk. pilot K. udekorował dwu podchorążych Krzyżem "Wirtuti Militari", 3 — "Krzyżem Walecznych" po raz pierwszy, drugi i trzeci, 8 — Krzyżem Walecznych po raz pierwszy i drugi, oraz 7 — po raz pierwszy.

W czasie wspólnego obiadu żołnierskiego Komendant Szkoły Podchorążych płk. T. wznosił okrzyk na cześć Pana Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza, oraz Naczelnego Wodza gen. dyw. Tadeusza Bora Komorowskiego. Żegnając się w serdecznych słowach z nowomianowanymi podchorążymi lotnictwa, Komendant Szkoły wypuklił fakt, iż w Szkocji wyszkolono pół tysiąca podchorążych lotnictwa, a obecny dowódca kompanii szkolnej liczy 303 wychowanków — lotników.

Wśród absolwentów między innymi znajdowało się dwunastu lotników ze słynnego Dywizjonu Bombowego 301 Ziemi Pomorskiej, nazwanego od czasu powstania warszawskiego Dywizjonem Obróńców Warszawy. Dywizjon ten niósł więcej niż ofiarą pomoc walczącej rok temu Warszawie. Jeden z pilotów odbył siedem lotów nad Warszawą dla zrzutów zaopatrzenia. Inny miał 21 lotów nad Polską, z tego cztery nad Warszawą. Znajdował się w gronie absolwentów również i przedstawiciel Polonii Charbińskiej.

Podstawy organizacyjne Pomocniczej Służby Kobiet

Dnia 14 grudnia 1942 roku ukazało się rozporządzenie Ministra Obrony Narodowej, wydane w porozumieniu z Ministrami Spraw Zagranicznych, Wewnętrznych i Opieki Społecznej, o zaciągu ochotniczym kobiet do pomocniczej służby wojskowej w Polskich Siłach Zbrojnych.

Pomocniczą Służbę Kobiet uruchomiono na podstawie artykułu 102 ustęp 2 Ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym z dnia 9 kwietnia 1938 roku /Dziennik Ustaw R.P. nr. 25, poz. 220/, w drodze zaciągu ochotniczego. Wśród warunków, jakie zarządzenie stawia ochotniczkom — rozpiętość wieku jest określona od ukończonych lat 19 do ukończonych lat 45.

To samo rozporządzenie głosi, że Pomocnicza Służba Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych obejmuje następujące rodzaje służb: 1/ służbę zdrowia, 2/ służbę administracyjno-gospodarczą, 3/ służbę techniczną w dwu działach: łączności i transportu, 4/ służbę kulturalno-oświatową.

Pod koniec stycznia 1943 roku ukazał się tymczasowy ramowy rozkaz organizacyjny o Pomocniczej Służbie Wojskowej Kobiet. Rozkaz ten nadawał kształty organizacyjne tworzącej się Służbie Kobiet.

Z pośród wielu ustaleń — wynotować należy przede wszystkim określenie grup fachowych. Obejmują one pięć zasadniczych działów: a/ transportowa /kierownictwo samochodów i motocykli/; b/ łącznościowa /radiotelegrafistki, telegrafistki, telefonistki/; c/ służba zdrowia /pomocniczy personel sanitarny/; d/ kulturalno-

oświatowa /świetliczarki i kandydatki/; e/ administracja /personel biurowy i gospodarczy/.

Tak pojęta Pomocnicza Służba Kobiet, została powołana do zasilenia Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie, Dowództwa Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, Dowództwa Lotnictwa oraz Kierownictwa Marynarki Wojennej.

Na czele Pomocniczej Służby Kobiet, ustanowiona została Komenda Główna. W chwili obecnej Komendantką Główną jest pani pułkownik, Maria Leśniakowa. Komenda Główna PSWK ma obecnie swoją siedzibę w Londynie, przy naczelnych władzach Polskich Sił Zbrojnych. Na czele ochotniczek na wyszczególnionych czterech terenach są postawione inspektorki.

Tak oto przedstawiają się w ogólnych zarysach zreby organizacyjne Pomocniczej Służby Kobiet. Należy dodać, że po raz pierwszy od czasu istnienia Polskich Sił Zbrojnych — Pomocnicza Służba Kobiet, acz oparta na zaciągu ochotniczym, postawiona została tak szeroko. W dotychczasowym życiu Polskich Sił Zbrojnych — służba kobieca, tak pojęta, stała się cenną nowością. Poważną i gruntowną, nie mniej nowością. Wiele rzeczy stwarzało się od nowa. Nie było należyte praktyki. Była za to gorąca dobra wola.

Kierownictwo Pomocniczej Służby Kobiet w swej pracy bezwzględnie pionierskiej — wykazało dużo rzetelnej umiejętności. Praktykę zdobyto z biegiem czasu, dzięki osobistym doświadczeniom, oraz dzięki kursom i stażom w służbach pomocniczych kobiet brytyjskich.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

Szkoci w obecnym rządzie brytyjskim

Rząd Brytyjski liczy kilkadziesiąt osób. Składają się nań członkowie ścisłego gabinetu, ministrowie mniejszej lub większej rangi, oraz parlamentarni sekretarze, będący politycznymi wiceministrami. Wszyscy muszą być członkami izb parlamentu to znaczy: Izby Gmin albo Izby Lordów.

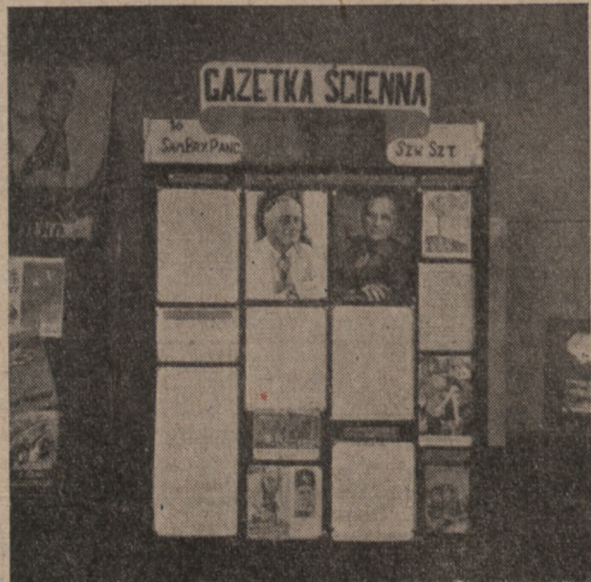
Trzeci w Wielkiej Brytanii rząd socjalistyczny, któremu przewodniczy przywódca Labour Party p. C. Attlee, zawiera w swym składzie siedmiu Szkotów. Wespole tym jest jedna kobieta.

Ministrem dla spraw Szkocji został p. J. Westwood, długoletni działacz robotniczy i samorządowy w Kirkealdy. Urodzony w Worcester, jako chłopiec przybył do Szkocji. W poprzednim rządzie koalicyjnym był zastępcą ministra dla spraw Szkocji. W tymże

samym Ministerstwie Szkocji — wiceministrami zostali pp. George Buchanan i Thomas Frazer.

Inni labourzyści-Szkoci zostali wiceministrami w szeregu resortów. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych — p. Hector MacNeil. W Ministerstwie Emerytur — pani J. L. Adamson. W Ministerstwie Zaopatrzenia i Produkcji Lotniczej — pp. William Morris i Arthur Woodburn. Ministerialne stanowisko podskarbiego Dworu Królewskiego objął p. George Mathers.

Tym sposobem na 68 członków Rządu siedem osób jest Szkotami z pochodzenia. Dwa ważne stanowiska objęli posłowie z okręgów szkockich, nie będący jednak Szkotami. Są to uprzednio wymieniony J. Westwood i W. J. Pathick-Lawrence.



Fotografia gazetki ściennej Szwadronu Sztabowego 16 Sam. Bryg. Panc. Zwraca ona uwagę starannością opracowania i bogactwem treści. Zachęcamy inne oddziały, które poświęcają swoim gazetom więcej uwagi, aby przysłały ich zdjęcia fotograficzne. Chętnie je umieścimy.

